

PAN KLEKS

K.P. -
23.10.13

Wownik "Koń Ferdynand i jego brzuch"

Fahrenheit Crew

Jak można się domyślić i sprawdzić, jeśli ktoś nie wierzy, do Zakużonej Planety arcydzieł nie bierzemy. Wolimy je za grubą kasę spytać bogatym amerykańskim wydawnictwom. Mimo to poniższy tekst na swój sposób (ten sam, co pozostałe odkużane teksty) jest arcydziełem. Bo jest dogłębnie i kompletnie do niczego. By jednak niepotrzebnie nie zniechęcać... do rzeczy.

By nieco zachęcić, pozwolę sobie nadmienić, iż moim zdaniem jest to dramat hipisowsko-hippiczny z dyskretnymi odwołaniami do aktualnych skandali obyczajowych z udziałem duchowieństwa oraz - last but not least - zgrabnymi nawiązaniem do klasyki kina sf.

Koń Ferdynand i jego brzuch

Ksiądz [Mam złudną nadzieję, iż fakt, że bohater jest księdzem, będzie miał istotne znaczenie dla fabuły] Albert szedł po pustyni w stronę zachodzącego słońca [Wściekle dobry, awangardowy początek - zwykle fabuły kończą się odjazdem w stronę zachodzącego słońca a tu buch! - początek], gdy nagle [Sic - ale o tym za chwilę] spostrzegł pięknego, białego konia, który stał na pagórku [Sic], obok jednego z niewielu kaktusów w okolicy [W okolicy jest niewiele kaktusów... znaczy, pustynia, tak? Konia (ale nie tego) z rzędem temu, kogo zaskoczy na pustyni widok konia stojącego na szczycie pagórka, czyli widocznego raczej ze sporej odległości. Obrazowanie siada już w pierwszym akapicie. I dobrze radzę, nie nastawiajcie się na to, że wstanie przed końcem. Czepiasz się, ksiądz idzie po pustyni i widzi konia. W dodatku zaparkowanego koło kaktusa. Pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to fatamorgana. Drugie - przedawkowane wino mszalne].

Mężczyzna podszedł do niego i pogłaskał po jasnej grzywie. Koń parsknął z radości, po czym zaczął biegać wokół księdza.

Tu po raz pierwszy pojawia się w mej głowie myśl, że autor na koniach zna się tak, jak ja na frezowaniu na maszynach numerycznych CNC. I że bohatersko zaniechał pogłębienia swej wiedzy, omijając szerokim łukiem takie hasła jak kłus, galop lub cwał. Myśl ta ściśle związana jest z wizją konia biegnącego na dwóch nogach (dla ułatwienia, tylnych). Dla ludzi, którzy nie mieli styczności z końmi, jest oczywistym, że koń zachowuje się tak samo jak pies.

Po krótkiej chwili, spędzonej na zabawie [Ksiądz się zabawia z koniem, taaaak], mężczyzna zabrał konia do swojego domu [Przerywając tym samym sielski spacer w stronę zachodzącego słońca i porzucając myśli samobójcze - teraz miał dla kogo żyć! Wiadomo, z koniem rażniej na plebanii. A dlaczego nie? Z braku kobiety dobry i koń]. Przygotował dla niego specjalną zagrodę [W domu! Pewnie skoro hojni pustynni parafianie złożyli się na sporą hacjendę dla padre, to i padok da się zorganizować. Najlepiej w salonie] i zrobił mu pyszne jedzenie [Na przystawkę tościaki z grzybami i niebieskim serem, krem z borowików, placek po węgiersku i na deser crème brûlée - konie to po prostu uwielbiają! Antropomorfizacja konia, która postępuje, umacnia mnie w poglądzie, że wszystkiemu winien celibat].

W środku nocy księdza Alberta zbudziły dźwięki, które dochodziły [Zaczynam podejrzewać, że autor nie lubi, albo nawet nie zna, imiesłówów] ze stajni [Wyrosła w nocy, pewnie z kaktusa, a koń,

wiadomo, lunatyk. Nigdzie nie jest napisane, że ksiądz nie miał wcześniej stajni. Obowiązuje zasada domniemania niewinności. To znaczy architektonicznej spójności obejścia. Jak docierałby z sakramentami do parafian? Piechotą przez pustynię? Hm, tak właśnie poruszał się w chwili, kiedy go poznaliśmy...]. Mężczyzna z przerażeniem zbiegł na dół [Stajnia... była pod ziemią? Nie, to willa była piętrowa. Pewnie wybudowana przed nastaniem kościoła ubogiego papy Franciszka] i dostrzegł leżącego na ziemi konia [Grzybki były nieświeże?]. Kiedy podszedł do niego bliżej, zdał sobie sprawę, że koń bardzo ciężko oddycha [Nie dość, że w trymiga zbudował koniowi zagrodę... tfu, stajnię, nie dość, że wkopaną w ziemię, to jeszcze na tyle wielką, że musiał do konia podejść bliżej, by zauważyć, że ciężko oddycha. Fiu-fiu, toż to nie ksiądz, a anioł wszechmocny jakiś. Może po prostu w pośpiechu zapomniał z góry okularów. Raczej aparatu słuchowego]. Pośpiesznie zadzwonił do pobliskiego weterynarza [Wody może i na pustyni brak, ale weterynarzy ci u nas dostatek. I zasięg też jest], który [Jeno przecinków jakoś skąpo. Kryzys. Mam koncepcję – autor unika imiesłowów świadomie, bo przerażają go zasady interpunkcyjne z nimi związane] słysząc historię księdza [Ha ha, mówiłem? Palicho konia, historia księdza o tym, jak magicznie wyczarowuje stajnię, a zapewne również o jego dawniejszych wyczynach...], przyjechał najszybciej jak tylko się dało [... była o wiele ciekawsza, to właśnie skusiło weterynarza do odwiedzin!].

Weterynarz Kacper [Wykonujący zawód w spółce partnerskiej z Melchiolem i Baltazarem, nazwisko do wiadomości redakcji] zbadał konia i ustawił się tuż za nim. [Żeby koń mógł mu wypłacić kopa za usługę. A może wyświadczyć mu w zamian usługę innego rodzaju?] Ksiądz Albert był nieco zdziwiony całą sytuacją [My też jesteśmy]. Kacper wytłumaczył mu, że koń jest w ciąży i zaraz urodzi źrebaka.

Świat mi się wywrócił. Normalnie do góry nogami. Cóż za nieoczekiwany zwrot fabularny, zamiast konia – konica. Klacz, znaczy się. Niesamowite. Ależ mnie autor zrobił w konia!

Księżulo na zwierzętach się zna, bo dalej stoi, że miał ich sporo. Znajduje konia i zabiera do domu. Koń przyjazny, a chłop ani mu w zęby nie zajrzy, ani kopyt nie sprawdzi. Nie dziwota, że nie zauważył, że koniowi pod słabizną nic męskiego nie wisi, za to zwierzę ma podejrzenie spory brzuch, o wielkości wskazującej na istnienie lokatora. No dobra, Albert jest księdzem, nie zna się, nie rozumie. Wiadomo, celibat i te sprawy, ksiądz ma po prostu zasadnicze braki informacyjne. Ale weterynarz?! Wchodzi, widzi leżącego konia z wielkim brzuchem i musi go zbadać, by ustalić, że to źrebiąca się klacz?

Jest jeszcze jedno rozwiązanie. Autor zna się na koniach tak dobrze, jak ksiądz Albert. Ja bym na nie postawiła. Poza tym, może weterynarz zobaczył już główkę?

Kąciki ust księdza Alberta uniosły się do góry ukazując równe, białe zęby [Łał, hippo-wampir pedofil. Będzie wbijał kły w szyję źrebaka i spijał jego krew! A może zęby księdza wcale nie mają żadnego znaczenia dla fabuły, hmmm? W trudnych pustynnych warunkach przynajmniej mógł je codziennie piaskować].

Po dłuższej chwili oczekiwania [Innym klaczom cała nocka na tym schodzi... ale to pewnie cudowny wpływ księdza], na świat przyszedł mały, brązowy źrebaczek. Kacper i Albert zaczęły szykować dla niego miejsce tak, aby mógł leżeć obok mamy.

- Ale jest piękny – powiedział ksiądz.

- Jak go nazwiesz, ojczu? – zapytał weterynarz Kacper [Żebyśmy przypadkiem nie pomylili go z jednym ze współników, przypomina nam się, jak ma na imię].

- Ferdynand – odparł Albert, po czym wrócił do ugniatania ziemi [Celem przygotowania miejsca dla źrebaka, taaak. W gotowej stajni ubite klepisko było tylko w miejscu, gdzie stała klacz. Ciekawe. A

nie wystarczyło by słomy narzucić?) dla dzielnego [Urodził się! Ależ to bohater!] konia Ferdynanda [Oj tam, jak Ferdynand, to się rozumie samo przez się, że wspaniały!].

□ □ □

Młody żrebak [Dla odróżnienia od starych żrebaków] rósł w niewyobrażalnym tempie [Bo to był Obcy – pasażer kłaczy w kamuflażu gatunkowym. Przy okazji dowiadujemy się między wierszami że niewypowiedziane imię matki to Nostromo]. Po kilku dniach dogonił już wzrostem swoją matkę [Ani chybi ksiądz-cudotwórca. Mnie tylko pozostaje mieć nadzieję, że cudownie szybki wzrost żrebaka będzie miał istotne znaczenie dla fabuły. Choć obawiam się, że nadzieja ta okaże się płonna]. Ksiądz Albert ze wszystkich zwierząt, które posiadał (a miał ich sporo) najlepiej traktował Ferdynanda. Codziennie podawał mu jedzenie z najwyższej półki [Co wymagało mozolnego wspinania się na drabinę i ryzykownych akrobacji z workiem w drodze powrotnej. Ale było po prostu konieczne, crème brûlée musiał trzymać na najwyższej półce najwyższego regału, bo inaczej niedokarmione zwierzątka wyżrą], wyprowadzał go na pobliską polanę [Polana na pustyni, grejt! Oj tam, może sobie zamówił rozkładaną trawę. A może po to jest księdzem, żeby otaczały go liczne dowody Boskiej łaski. Która, odmiennie od pańskiej, na pstrym koniu nie jeździ], gdzie czesał jego piękną, brązową grzywę [Reszty konia nie wyczesywał, bo po co. Pony miały tylko grzywy do czesania. Złe nawyki zostają na całe życie].

Inne zwierzęta bardzo zazdrościły Ferdynandowi, że jest tak dobrze traktowany [Zapewne z powodu francuskiego deseru]. Uznały, że skoro jest nowym członkiem stada, to ksiądz Albert nie powinien, aż dobrze o niego dbać [Wiadomo, jak wszędzie – każdego nowego kota należy ostro przycisnąć, fala rządzi! Wystarczyłoby dbanie o nowego aż przeciętnie]. Zniechęciły, a nawet znienawidziły konia Ferdynanda [Dało się to wyczuć, bo atmosfera w stajni stała się gęsta. Od antypatii].

Pewnego dnia, zaraz po tym jak ksiądz Albert zabrał konia na polankę [Na tej pustyni to pewnie gdzieś bardzo daleko], wszystkie zwierzęta spotkały się w stodole [Ciekawe po co księdzu stodoła na pustyni, gdzie zboże i siano raczej są towarem deficytowym. Jak to po co? Żeby zwierzęta miały gdzie spiskować, ot, co], aby zdecydować o losach młodego konia.

- Witam – powiedział paw Maciej [Paw na pustyni. Że już ni wspomnę, iż w księżej stodole! A, to fantastyka], który był przywódcą zwierząt księdza Alberta. Kilka tygodni wcześniej został wybrany na drugą kadencję [Fala falą, ale demokracja musi być]. – Zebraliśmy się, aby zdecydować, co mamy zrobić z naszym biednym [Niby nienawidzą, ale potrafią mu współczuć, że sierść na grzbiecie nigdy niewyczesana] koniem Ferdynandem.

- Pozbyć się go! – krzyknęła jedna ze świń [A to nazistowska świnia! Od razu Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Biednego Ferdynanda...].

Zwierzęta zaczęły gwizdać i wiwatować, ponieważ bardzo im się spodobała propozycja świni [Świnie].

- Musimy przeprowadzić głosowanie – powiedział T [Dobre, wręcz awangardowe imię. I słusznie, bo T-Rexa już bym nie zdzierzył], który był owczarkiem niemieckim. Odpowiadał on [Ten T, nie tamten T, żebyście przypadkiem nie pomylili] za porządek wśród zwierząt [Och, jak Niemiec, to już Ordnung muß sein i za porządek odpowiadać, tak? Oj tam, jak to pies pasterski. Twoje skojarzenia są krzywdząco stereotypowe. T to pewnie jakiś skrót, np. od Trzpiota, bo trochę sobie nie wyobrażam, jak ksiądz by to wokalizował. Chociaż, może po prostu: „Te, do budy!”].

- A ona nic mu nie powie? - zapytał kogut Stefan wskazując na matkę Ferdynanda, która stała w samym rogu stodoły [Co ona robi w stodole, skoro ksiądz specjalnie dla niej wybudował zagrodę-stajnię w piwnicy swego domu? Nawet jeśli zwierzęta wybrały stodołę tylko jako miejsce swego zebrania, to po co holowały tu matkę Ferdynanda? Pałam nadzieją, że będzie to miało jakieś sprytne znaczenie dla fabuły. No, przecież jest demokracja. Musiały choćby dla pozoru dopuścić ją do głosu].

- Jest już stara i głucha [Ile lat minęło od chwili, gdy ksiądz znalazł klacz? Przecież żrebak w kilka dni wyrósł na dorosłego konia. Potem tylko bla bla bla: polanki, czesanie grzywy i crème brûlée. Trwało to lata całe, by zwierzęta z zazdrości znienawidziły Ferdynanda? Do grzechów autora dochodzi kolejny - nie panuje nad chronologią. Urodziła Obcego i wyssał z niej młodość. I tak ma dobrze, bo z życiem uszła] - odparł T. - Głosujemy. Kto jest za tym, aby pozbyć się Ferdynanda z naszego stada?

Nagle zwierzęta wydały z siebie okrzyki radości. Koty zaczęły miauczeć [Miał, miał, coś ty kotku miał? Miałem ja miseczkę mleczka, teraz pusta jest miseczka, a jeszcze bym chciał...], psy szczekać, koguty pisać, krowy muczeć... [A gdzie świny, kaczki, indyki, perliczki, osiołki, byki i reszta tałatajstwa? A paw? Jak robi paw Maciej?] wszyscy byli za tym, żeby wyrzucić Ferdynanda [E, ludzkie pany. Ja ich posądzałam o chęć dokonania kolektywnego mordy. Za dużo Pokłosa].

- A więc przegłosowane [Kiepski jednak ten Niemiec, a dla porządku zapytać, kto przeciw, kto się wstrzymał, to kto ma - mama Ferdynanda? To się nazywa - przejście wniosku przez aklamację. Jesteś pewna, że matka Ferdka też była za? Za -głuszona.] - krzyknął T, i tym samym uciszył resztę zwierząt. - Tylko jak my to zrobimy? [Bezradność tego Niemca jest rozbijająca. Obcego - jak udowadniają liczne filmy - niełatwo wyrzucić z pokładu. Tym bardziej z obejścia. Nooo, mogli ściągnąć Ripley. Z własnym kotem? Bez konsultacji z pawiem Maciejem? Poza tym może akurat była rozpuszczona. Czas akcji jest wszak nieokreślony]

- Mam pewien pomysł - odparł paw Maciej, po czym zaczął opowiadać innym [Zwykle opowiadał o swych pomysłach samemu sobie, ale tym razem postanowił zrobić wyjątek] swój wspaniały plan [Nikogo nie zdziwiło, że miał go z góry na podorędziu. Bo że plan był wspaniały, to oczywiste - w końcu dotyczył eliminacji Ferdynanda Wspaniałego].

□ □ □

Koń Ferdynand właśnie wracał z polanki [gdzie chronił się przed toksycznym uczuciem księdza Alberta, bo już go grzywa bolała], kiedy zauważył, że T biegnie w jego stronę. Bardzo lubił T [T bardzo lubił T. Tetetka! T z pewnością bardzo lubił T. Wszystko, co o nim wiemy, wskazuje na samouwielbienie]. Brał go za mądrego, inteligentnego i sprytnego psa [W rzeczywistości T był głupi, głupi i jeszcze raz głupi. Co zostało udowodnione powyżej i... poniżej również]. Uważał, że mógłby się z nim zaprzyjaźnić [Gdyby tylko mu się zachciało, ale nie, co się będzie bratał z pospólstwem. Gdyby nie ta gęsta atmosfera antypatii. Wszyscy mamy swoje złudzenia].

- Przyjdź zaraz do stodoły - odparł T [Odparł na co? Odparł tę falę nieodwzajemnionej sympatii, ani chybi], gdy znalazł się obok Ferdynanda [Do rozlicznych wad T należało również to, że miał problemy z wysłowieniem się, gdy stał naprzeciw rozmówcy. Bał się, że Ferdynand wyczyta Plan z jego oczu].

- T! Przestań szczekać na Ferdynanda - powiedział ksiądz Albert [Ale zwrócił uwagę owczarkowi spokojnie, bo T jest nerwowy i ze strachu robi pod siebie].

Koń tylko kiwnął głową [To koń nie ma łba? Obcy!] i poszedł za księdzem do stajni [Jak za panią

matką]. Zastanawiał się, co chciał od niego T [Ale niedomyślny – no przecież, że crème brûlée. Jak to – żeby polazł do stodoły. Szybki rozwój ograniczał się najwyraźniej do sfery fizycznej...]. Bardzo się cieszył, że w końcu znalazł przyjaciela [Co wynioskował z zaproszenia do stodoły. Byle kogo się tam nie zaprasza... Stodoła to w końcu nie obora!].

□ □ □

Kiedy Ferdynand wszedł do stajni zdał sobie sprawę, że znajdują się w niej wszystkie zwierzęta księdza [I mamy tutaj totalny rozjazd sceny. T każe iść (w domyśle ze sobą) do stodoły, więc Ferdynand miał tego idzie z księdzem do stajni. A tam – niespodzianka, czekają wszystkie zwierzęta. Księdza to nie dziwi, bo chłop w drzwiach znikł, zapewne w wyniku teleportacji. A gdzie jest T? Poszedł do stodoły :>], i wszystkie się do niego uśmiechają [Taaa, zwłaszcza dziobami. Nie bądź rasistą:>]. Ferdynand był bardzo zdziwiony tym faktem, ponieważ do tej pory zdawało mu się, że inne zwierzęta za nim nie przepadają [Ciekawe, dlaczego?]. Koń odpowiedział uśmiechem [Chodziło nam o odgłos paszczy] i podszedł do Macieja.

- Ferdynandzie – zaczął paw. – Mam dla ciebie pewną misję.

- Misje? – zdziwił się Ferdynand [My też się dziwimy, skąd tam misie. I to przez J. Lub jak misja cudownie się rozmnożyła].

- Tak. Jako, że stałeś się już dorosłym koniem musisz wykonać misję [Zgodnie ze starym końskim zwyczajem, który paw świetnie zna. Studiował zwyczaje innych gatunków].

- A na czym miałyby ona polegać? – dopytywał się Ferdynand.

- Musisz nas opuścić. Będziesz mógł wrócić tylko wtedy, kiedy znajdziesz liść dębu.

- Och, a co się stanie jak znajdę? [Zapytał inteligentnie Ferdynand, który zignorował znaczną część wypowiedzi pawia]

- Będziesz mógł wrócić – wtrącił T [Rozumiejąc po wpadce ze stodołą, że koń jest przygłupi i trzeba mu wszystko powtarzać], który wrócił ze stodoły i z głupią miną stanął obok Macieja. – I zostaniesz oficjalnym członkiem naszej ekipy [Ja pierdriu, Drużyna A jak w mordę, i Mr. T się zgadza, tylko kto robi za Bużkę? Paw Maciej to chyba za Murdocha. Obstawiam księdza!].

Koń Ferdynand na wieść o tak wspaniałej nowinie [Na wieść o wieści robię wyrzyg treści], aż parsknął z radości [Jak wyżej wskazano, był nie tylko przytępawy, ale też niedorozwinięty emocjonalnie. Poza tym bolała go już grzywa od nieustannych zabiegów księdza Alberta, więc chętnie powitał pretekst do opuszczenia jego obejścia].

- Zgoda – oznajmił, po czym ruszył w stronę wyjścia. Musiał jeszcze zjeść kolację, przecież nie pójdzie w tak długą podróż z pustym brzuchem [Słusznie. Choć mógłby się w nią z pustym brzuchem udać – to możliwe. Z pustym łbem za to bez kłopotu i oporów].

- Myślisz, że to bezpieczne? [Debilizm psa się pogłębia – toż ta wyprawa ma być dla konia niebezpieczna] – zapytał T, kiedy Ferdynand znalazł się poza zasięgiem jego wzroku [Ale w zasięgu jego słuchu – co tu ma wzrok do rzeczy? Nie można napisać zwyczajnie – gdy Ferdynand wyszedł? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal]. – A co jeśli znajdzie? [I kolejny raz T robi z siebie imbecyla]

- toż przed chwilą sam odpowiadał koniowi na to samo pytanie. Ja wiem, że autorowi chodzi o coś innego, więc niech autor coś innego napisze, a nie robi głupka z bohatera i czytelnika na dokładkę

- Spokojnie - uspokoił go paw Maciej. - Najbliższe dęby są w miasteczku położonym ze trzydzieści kilometrów od nas. A tak poza tym... przecież dookoła rozciąga się pustynia - w tym momencie wszystkie zwierzęta wybuchły szyderczym śmiechem [Czy mnie się tylko wydaje, czy przypadkiem Maciej wyjawiał już zwierzętom swój plan i jego implikacje? Ponadto 30 kilometrów od pustyni chyba nie rosną dęby. Znaczy, nigdy nie byłam dobra z geografii, ale mimo wszystko. Nawet mnie wydaje się to mocno naciągane. No i w dodatku, w kontekście wyprawy przez wielkie „W” - co to jest dla konia trzydzieści kilosów?].

□ □ □

Kiedy Ferdynand wyszedł ze stajni na zewnątrz [Eee tam, gdyby wyszedł ze stajni do wewnątrz, to byłby hardcor! Mógł się przedostać podziemnym tunelem prosto do sypialni księdza Alberta. Gdyby miał ochotę. Ale nie miał. Na myśl o księdzu grzywa boli. Zły dotyk boli całe życie] było już bardzo ciemno. Młody koń [Autor długo wystukiwał słowo „koń” na wszelkie sposoby i w wielu wyszukiwarkach, ale synonim „ogierek” nigdy mu się nie pojawił... Pewnie wulgaryzm] zastanawiał się, czy nie przełożyć wyprawy na następny dzień, ale nie mógł się doczekać przyjęcia do ekipy Macieja. Może jak szybko znajdzie to otrzyma jakąś super rangę? [Za dużo gier komputerowych i for internetowych, autorze] Może tak fajną jak T? [Zagadka - jaką super rangę ma T? No, jak, a B.A.? To super ranga sama w sobie. I złote łańcuchy w pakiecie! Niezła zbitka - B.A.T. Aż człowiek nie wie, w którą stronę skojarzenia poniosą: albo zgodny z funkcją porządkowego bat albo... batman! Czyli, pozostając w polu semantycznym, operator bata. Zantropomorfizowany

Już miał przejść przez bramę, gdy nagle coś stanęło mu na drodze [pewnie wierzeje tej bramy].

- Nigdzie nie pójdziesz - odparł [Podejrzliwie rozglądam się - kto zajmował wypowiedź Ferdka?] tajemniczy przybysz.

- Mama? - zdziwił się Ferdynand. [PO CZYM POZNAŁ? Aaa, wiem, jego matka jest jedyną kłaczą na świecie klasyfikowaną jako rzecz. Chyba raczej jedyną opisywaną w rodzaju męskim].

- Wszystko słyszałam - powiedziała. - Oni chcą się ciebie pozbyć... [Czyli, zgodnie z przewidywaniami, matka znalazła się w stodole tylko po to, by usłyszeć o planach reszty zwierzaków. Znaczy chciejstwo

- Przestań - przerwał jej Ferdynand.

- ... w pobliżu nie ma żadnych dębów...[Luzik, matka, se pojdem trochie dalij i znajdem. A pytania są tendencyjne! Misje, znaczy

- Przestań! Po prostu jesteś zazdrosna, że chcą mnie przyjąć do siebie.

Ooo, to ciekawe! Bo przecież właściwie dlaczego matka miałaby być zniechęcona przez resztę zwierząt? Ksiądz nie traktuje jej przecież lepiej od nich. Na polankę nie prowadzi, grzywy nie czesze, crème brûlée dostała tylko raz... Ale porodziła Syna... Guilty by association

- Nieprawda. Oni cię nienawidzą za to, że Albert tak o ciebie dba.

- Kłamiesz! – krzyknął Ferdynand i nie mogąc dłużej słuchać matki, wybiegł przez bramę prosto w stronę najbliższego dębu [Jak każdy młody koń, kontestował wszystko, co mówili rodzice, dla samej zasady].

Przynajmniej tak mu się wydawało [Dawno nie pił i był mocno odwodniony, dlatego zaczynał mieć zwidy. Myślisz, że ksiądz mu tym razem nie zaserwował kaktusowego Chateaux Laffite '48 do kolacji?].

□ □ □

Ferdynand biegł przez ponad godzinę [Sprawdził na zegarku przystosowanym do pustynnych warunków – prezencie od księdza Alberta]. Chciał się znaleźć jak najdalej od osób, które go nie rozumieją [To Albert też go nie rozumiał? A może gospodyni księdza plebana? No przecież, że tak – nie znają końskiego]. W końcu zaczął odczuwać zmęczenie i głód [Ale dopiero zaczął, nie ma strachu]. Schronienie znalazł pod drzewem, które rosło pośrodku wielkiej pustyni [Może to jest Pustynia Błędowska?].

Koń od razu odskoczył, gdy tylko jego ciało dotknęło tego jedyne drzewa [Tak się rozpędził, że mimo narastającego zmęczenia nie zdołał wyhamować i zaliczył czołówkę].

- Dziwne. Kłuje – odparł [Wiem, odparł to drzewo! Jego atak!] Ferdynand, po czym spojrzał na niebo pełne białych kropek – Chciałbym mieć prawdziwego przyjaciela [Kłujące drzewo + białe kropki na niebie = potrzeba przyjaźni. Niektórzy widują wieczne truskawkowe pola, inni Lucy na niebie, a świat ma, Ferdynandzie, tylko kłujące drzewa i białe punkciki dla ciebie].

□ □ □

Następnego dnia Ferdynanda obudził potworny ból brzucha [Nie jadł kolacji. A nie deklarował zamiaru spożycia przed wyprawą? Kiedy to było...]. Żałował, że nie ma nigdzie w pobliżu księdza Alberta [Eee tam, godzinka drogi do zagrody], który przyszykowałby mu pyszne jedzenie [Nie powiem, crème brûlée też bym wciągnął]. Ledwo wstał na nogi i ruszył w dalszą drogę przez pustynię [Mięczak, parę godzin nie jadł i już ledwie żyje. Drobnomieszczańskie nawyki, ot, co].

Po kilku godzinach zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma dłużej bez porządnego jedzenia [Bo nieporządne żarcie mu nie odpowiadało – słusznie, też bym nie chciał podróżować na diecie składającej się z piasku, kaktusowych kolców i pustynnych robali].

- Mógłbyś przestać! – krzyknął Ferdynand na swój brzuch. – Chcę się skupić na drodze [Ale się łatwo rozprasza! Ten etap halucynacji, gdy już zaczyna się gawędzić z częściami własnego ciała!].

Koń przeszedł jeszcze kilka kroków, po czym padł na piasek z głodu [Pomyliłem się jednak, to Pustynia Głodowska, zrobiona z piasku, a piasek... zrobiony z głodu. Dobrze, że nie z pragnienia].

- No proszę... przestań.

- Postaram się.

- Co to? – zdziwił się Ferdynand. – Kto tu jest? Mówić! Natychmiast! [Ferde w chwilach wielkiego stresu mówi bezokolicznikami]

- Tu, na dole – odparł głos.

Koń zaczął rozglądać się dookoła [Gdybyż tylko autor się też rozglądnął, niekoniecznie dookoła, wystarczyłby ten wycinek rzeczywistości, który mieści w sobie słownik. Teoretycznie mógł się rozejrzeć tylko w jedną stronę, nie? W dół i tak nie popatrzył, mimo sugestii interlokutora. Jeżeli chodzi o trudności komunikacyjne protagonisty, autor jest konsekwentny. Do bólu] jednak nic, ani nikogo nie widział.

- Tu ty koński łbie! [A, to jednak koń ma łeb, a nie głowę! I diabli wzięli konsekwencję... W kontekście późniejszej wymiany zdań stwierdzam, że głos solidnie Ferdynandowi dosrał] – tym razem głos był znacznie głośniejszy [Dostrzegam wzmożoną emisję... a może to tylko pogłos? Wyraźniej słyszalny nie mógł być. Najwyraźniej].

- Nie widzę cię – powiedział koń, choć sam nie wiedział do kogo [Nie widzę generała! Nie widzę zbójników. Muszę widzieć generała! Muszę widzieć zbójników. Uważam was za bandytów i nie mogę wam wierzyć. A jaką mam gwarancję? Żadnej. W każdej chwili mogę ich sam uwolnić. A wtedy dwór cesarski będzie w żałobie po wielkim generale i jego dzielnym adiutancie. Cytat nie do końca adekwatny, mniej więcej odzwierciedlający logiczną strukturę tekstu. I – w przeciwieństwie do niego – fajny].

- Och no weź [Tu wstaw wulgaryzm. Albo: bitch, please]. To ja. Twój brzuch.

Koń Ferdynand zrobił zdziwioną minę i pochylił głowę, żeby spojrzeć czy to rzeczywiście jego brzuch [A tu niespodzianka, to brzuch jego mamy! Na powitanie wychyliła się główka kolejnego Obcego].

- Ale jak to?

- No normalnie – powiedział brzuch [Co, gadającego brzucha nie widziałeś? Prowincjonalna chabeto o ciasnych horyzontach, co nie sięgają poza żłób! I poza francuskie desery, oczywiście. Których nie serwuje się wszak w żłobie, zagalopowałam się]. – Ciągłe krzyczałeś, że jesteś głodny no to musiałem zareagować [Nudne to już było. Choć nawet w przybliżeniu nie tak bardzo jak ten tekst].

- To jest możliwe?

- Nie durny koniu! To tylko twoja posrana wyobraźnia [Głos rozsądku. Pewnie się posrała z głodu. Choć to podobno jeszcze nikomu się nie przydarzyło, jak mówi mądrość ludowa. Ale w końcu to fantastyka].

- Dlaczego się wyrażasz?

- Bo jesteś głodny.

Ferdynand nie mógł uwierzyć, że rozmawia ze swoim brzuchem. Wymienił z nim jeszcze kilka zdań, tak aby się upewnić [I z każdym słowem imaginacja nabierała realności], i ruszył w dalszą drogę.

Przez cały czas rozmawiał ze swoim brzuchem, dzięki czemu zapomniał o tym, że jest głodny i zmęczony [Nakarmił się frazesami? Brukselki to tam nie było. Jak się nie ma, co się lubi, to się łudzi, że się ma]. Brzuch opowiedział mu, że tak naprawdę zawsze był przy nim. Od początku jego narodzin

[Od pierwszych skurczy porodowych], aż po dzień dzisiejszy.

- To pomożesz mi znaleźć liść dębu? [Jak wiadomo, szukaj okiem, a nie brzuchem, ale kto by się przejmował logiką? Na tym etapie?] – zapytał się Ferdynand.

- Stary, oni cię wychowali. Chcieli się ciebie po prostu pozbyć. Byli zazdrośni. Musimy tam wrócić, bo inaczej umrzemy z głodu.

- Ojej... a mama próbowała mnie powstrzymać. Wy wszyscy wiedzieliście, a ja się nie słuchałem. Dzięki... a tak właściwie, to jak ty masz na imię? [Pół dnia nawijamy, a ja nie wiem. To może brudzia? Logistycznie może być ciężko. Logistyka, logika, jeden czort

- Ja? – zdziwił się brzuch Ferdynanda. – Ja, mam na imię... Brzuch.

- Miło cię poznać Brzuch. Jesteś moim prawdziwym przyjacielem, choć za dużo bluźnisz.

- Spierdalaj [To jest naprawdę, ale to naprawdę najlepszy tekścior w całym... tekście].

Koń Ferdynand wiedział, że w końcu odnalazł prawdziwego przyjaciela. Pragnął tylko znaleźć się już w domu, żeby wraz z Brzuchem zjeść obfitą kolację [Każdy pozbawiony przyjaciół koń może nawiązać bliską relację z własnym narządem! Normalnie Cohelo Folwarku Zwierzęcego!].

□ □ □

Następne trzy dni minęły na zabawie w skojarzenia.

Nawet się cieszę, że autor nie rozwinął tej jakże głębokiej i adekwatnej do sytuacji myśli. Jeszcze bym się dowiedział, że z braku wody pił te skojarzenia... Zaraz, zaraz. Biegł najpierw ponad godzinę, potem ledwo się włókł jeszcze kilka, a wraca trzy dni? Coś tu się, z przeproszeniem, kupy nie dzieje... Bo on nadal liścia szuka. Misja droższa żarcia!

□ □ □

Podczas piątego dnia tułaczki [Ja rozumiem, że rozmowa z Brzuchem była tak fascynująca, że głód i pragnienie poszły w zapomnienie. Ale powyżej jest napisane (dość nieporadnie), że cztery dni temu koń z głodu padał z nóg. A potem znów wędruje?] Ferdynand przypomniał sobie o bolącym brzuchu [Dziwne, gada z nim non stop, a dopiero teraz sobie o nim przypomina? Bo on z nim gadał jak równy z równym. Ignorował jego podrzędność wobec swego jestestwa, póki mógł. Tak, wiem, to bez sensu].

- Boli – poskarżył się swojemu przyjacielowi.

- Nic już na to nie poradzę [Wcześniej poradził? Zagadał go. Ale to działa tylko przez jakiś czas. Najwyraźniej maksymalnie 120 godzin].

Chodzili jeszcze przed kilka godzin, gdy nagle dostrzegli drzewo.

Ciekawe są implikacje stwierdzenia, że brzuch chodził i brzuch dostrzegł drzewo... Brzuch jest na tym etapie głodowych halunów bytem odrębnym

- Jest! Widzę! – krzyczał [Długo tak krzyczał?] koń Ferdynand, i od razu pobiegł [Czyli niedługo] w jego stronę.

- Nie! Nie dotykaj tego!

- Dlaczego? – zdziwił się koń?

- Bo to jest kaktus. To samo drzewo [Kaktus jako drzewo. Dobrze, że koniec już się zbliża], które cię pokuło pierwszego dnia podróży – oznajmił Brzuch.

Nagle Ferdynand coś sobie przypomniał.

- Już wiem!

- Co wiesz? [Wiesz tyle, co zjesz, czyli najwyraźniej, hm, niewiele] – zapytał Brzuch, podczas gdy Ferdynand biegł co sił w kopytach [Autorze, kopyta nie są końskim rezerwuarem energii. Nie każdy jest takim specjalistą od końskiej anatomii, żeby wiedzieć, czym są, na ten przykład, pęciny. Research zaś jest dla słabych. A słownik frazeologiczny dla ostatnich mętów].

Po prawie godzinie znalazł to czego szukał.

- Czy to jest... – zaczął Brzuch.

- Tak! – przerwał mu Ferdynand. – To tutaj ksiądz Albert znalazł moją mamę [Bo odnalezienie tego miejsca było niemożliwie istotne dla zakończenia dębowlistnej misji].

Kiedy koń znalazł się na samym szczycie pagórka usłyszał ludzki głos.

- Ferdynandzie! Czekaj!

Weterynarz Kacper, który od kilku dni pomagał księdzu Albertowi w poszukiwaniach jego ulubieńca [Urzekła mnie twoja historia, księżu Albercie. Ksiądz porzucił cały inwentarz i ruszył łapać zbiegłą ofiarę swego afektu...] gdy tylko spostrzegł konia, od razu do niego podbiegł i zaprowadził do domu swojego przyjaciela [Czyli to nie jest pierwszy lepszy weterynarz z okolicy, tylko przyjaciel! Nic tak nie cementuje więzi, jak wspólne odebranie porodu!].

Ferdynand był w niebo wzięty [Ja zasadniczo jestem p rzera żony]. W końcu znalazł przyjaciela. W końcu znalazł dom. W końcu był szczęśliwy.

Ksiądz Albert rzucił się na szyję Ferdynanda i wplótł swojej dłonie w jego piękną, brązową i pełną piasku grzywę [Eee, tyle dni nie czesał, to chyba jednak nie taka piękna, co? Fetysz zawsze jest piękny w oczach fetyszysty. Przynajmniej tak słyszałam].

Zaprowadził go do stajni i przygotował wspaniały posiłek [No, na-re-szcie! Pieczywo czosnkowe, rosółek, pieczeń z pustynnego dzika i crème brûlée! A jakie wina!]. Ferdynand długo się nie namyślając zaczął jeść. Jadł przez kilka minut, by w końcu upić łyk wody z drewnianego wiadra [Pięć dni nie pił. To jednak twardziel! Kultura przede wszystkim].

- Ale się najadłem – oznajmił Ferdynand. – A ty jak?

Ferdynand nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

- Brzuch, co jest? Ty się nie najadłeś?

Bez odpowiedzi.

- Brzuch! Nie rób mi tego! Proszę, powiedz coś. Zabłuźnij [On to chyba lubi], proszę. Brzuch!

Jednak Ferdynand już nigdy nie usłyszał głosu swojego najlepszego przyjaciela [I bańka prysła. Nawet jemu samemu odechciało się z nim gadać. Nie żebym była zaskoczona].

Głównym bohaterem powyższego tekstu nie jest bynajmniej koń Ferdynand, jego brzuch, jego matka, ksiądz Albert, weterynarz Kacper ani nawet crème brûlée.

Jest nim leniwa świnia. Czemu?

Składnia leży i kwiczy. Frazeologia leży i kwiczy. Interpunkcja leży i kwiczy. Znajomość tematu przez autora (pustynie, konie) leży i kwiczy. Znajomość znaczeń słów (i to tych łatwych, codziennych, powszechnie znanych) leży i kwiczy. Budowa zdań, styl, logika, obrazowanie, konstrukcja fabuły, chronologia – wszystko leży i kwiczy. Ortografia też pokwikuje.

No to może fabuła? O czym to jest? Porównajmy treść z tytułem. Opowiadanie jest o emocjonalnej więzi nieparzystokopytnego z jego brzuchem. Do tego docieramy po wstępie, który stanowi połowę objętości tekstu. Mamy tam masę odwracających uwagę kwestii: głównego ludzkiego bohatera, który, nie wiedzieć dlaczego, jest księdzem – dla fabuły nie ma to żadnego znaczenia; cudowne znalezienie kłaczy na środku pustyni (cud ten, poza tym, że jest, nie ma żadnego znaczenia dla fabuły); cudownie szybkie dorosnięcie Ferdynanda również nie niesie ze sobą żadnych wątków fabularnych, Ferdynand nie jest później żadnym cudownym koniem; wydumany konflikt z pozostałymi zwierzętami gospodarskimi, potrzebny jedynie do tego, by uzasadnić, dość mizernie, wędrówkę przez pustynię.

Aż wreszcie docieramy do najważniejszego: do rozmowy z brzuchem. Czego się dowiadujemy? Że brzuch bluzga i bawi się z Ferdynandem w skojarzenia. Po pierwszym zaspokojeniu głodu nadprogramowy bohater znika i... koniec.

O czym to jest? O Fabule, która również leży i kwiczy.

A taaaki fest pomysł się pojawił w środku, ten z wampirem pijącym krew źrebiąt! Że też autor go porzucił... Cóż, może następnym razem.

Ja bym powiedziała, że to wstrząsająca historia o syndromie sztokholmskim. Ale nie rozwinę tego, bo znowu hyr pójdzie, że my, w Cintrze, obrzydliwe są, w skojarzenia gramy i niemożliwa jest ta, no, kołozystencja. Niechętnie przyznam się natomiast do skrywanej obawy, że autor mógł inspirować się „Folwarkiem zwierzęcym”. Implikacje ewentualnej słuszności powyższego domniemania, wobec logicznej, stylistycznej, ortograficznej, geograficznej, zoologicznej i psychologicznej mizerni efektu, byłyby bowiem zatrważające. I to nawet bardziej niż interpunkcja w omawianym tekście – a to by już było nieliche osiągnięcie. Pierwsze na koncie autora, ale raczej nie takie, o jakie by zabiegał. Poszukiwania jakiegokolwiek pozytywu w historii Ferdynanda zakończyły się porażką. Próba identyfikacji przesłania, czy choćby sensu, dała rezultat identyczny. Mówiąc brutalnie, jest to tekst o

głupim, odtrąconym przez innych z racji afektu opiekuna żrebaku, który zgłodniał. Z głodu zaczął myśleć na szczątkowym poziomie, co umożliwiło mu powrót do domu (z kilkoma objazdami czasoprzestrzennymi) i najedzenie się, ale bynajmniej nie rozwiązało jego problemów społecznych. Konkluzja? Micha to nie wszystko? Z michą źle, ale bez michy jeszcze gorzej? Koń odkrywa piramidę Masłowa? Radość pisanania nie przekłada się na radość czytania, mówiąc łagodnie. Papier wszystko przyjmie. Ale czytelnik niekoniecznie.

Cintryjka i Kruger